

Gra w klasy

12 września 2019

Szwedzkim zwyczajem siedzieliśmy pewnego grudniowego przedpołudnia i wspólnie piliśmy kawę w gronie zarządcy (czyli naukowców od zarządzania) na mojej podsztokholmskiej uczelni. Koleżanka przyniosła pierniczki. Kolega przyniósł pewną fobię, którą natychmiast się zaraziliśmy. Zajęliśmy się wyzwierzęcaniem się nad opowieściami o absolutnych konfliktach między różnymi pokoleniami. Tym opowieściom hołdują tak media, jak i co niektóre podręczniki, wspólnie okrzyknięte przez nas durnymi. Oto mamy pokolenie egocentrycznych sceptyków, czyli generację X, znajdującą się w śmiertelnym zwarciu z technosofistykowanym pokoleniem Y, które z kolei odpada przy wyższej medialnej rozkminie pokolenia Z. Jak twierdzą marketerzy, każde z tych pokoleń ma coraz wyższe ambicje, żeby zostać liderem. Każde ma większe aspiracje do bycia przedsiębiorcą. Coraz bardziej zależy im na tym, by dostosować się do wymogów pracodawcy. Jak zauważyła koleżanka, zdaje się, że każde kolejne z tych pokoleń zyskuje jakiś gen, który umożliwi im bardziej skuteczną walkę o przetrwanie w dżungli rynku pracy.

Wydaje mi się jednak, że udało mi się przelicytować wszystkich przy pomocy midriff generation, czyli, w wolnym przekładzie, generacji gołego pępka. Jakieś dziesięć lat temu zostało ono ogłoszone jeśli nie cudem świata, to w każdym razie posiadaczem ostatecznie definiującej różnicy, która czyni je grupą społeczną do innych niepodobną, kto wie, czy nie ostatecznym celem ewolucji, a w każdym razie tym pokoleniem, które autentycznie ogarnia współczesny świat i dlatego musi być z pozostałymi, konkurującymi z nimi, w sprzeczności. Ta różnica sprowadzała się, pokrótce, do absolutnego zakupowo-konsumenckiego wyrafinowania i kompetencji marketingowej. „Twoje ciało jest twoim największym zasobem” – oto najważniejsze credo tego „pokolenia”.

Pośmialiśmy się, wypiliśmy kawę, zjedliśmy pierniczki, po czym przeniosłam się korytarz niżej, gdzie nad pysznym owocowym ciastem przyniesionym przez kolegę kawowali socjologowie (niezaprzeczalne są bowiem korzyści z interdyscyplinarnych wydziałów uczelni). Spyтали, co słyhać. Streściłam im pokrótce naszą rozmowę o pokoleniach. Gdy się szczerze jeszcze raz pośmialiśmy z kategorycznego imperatywu gołych talii, socjologowie sięgnęli po cięższą artylerię. Jednym z moich kolegów z piętra niżej jest profesor Stefan Svallfors, zajmujący się między innymi teorią klas społecznych.

„Te brednie o pokoleniach – powiedział – to produkt zastępczy zamiast klas”. I dalej rozmawialiśmy o klasach i o tym, jak neoliberalne media wprost wychodzą z siebie ze strachu przed tą kategorią. „Wystarczy powiedzieć »klasa« w telewizji, a wezmą cię za jakiegoś starego kumpla Honeckera” – zaśmiała się koleżanka. Pamiętajmy, że mówimy tu o Szwecji, gdzie język medialny jest zupełnie inny niż w Polsce i nikogo nie dziwi mowa solidaryzmu społecznego czy związkowego zaangażowania po stronie pracowników. A jednak „klasa” jest słowem budzącym czujność także szwedzkich liberałów, którzy wszak są przyzwyczajeni do stałej i pozbawionej kompleksów obecności socjaldemokracji.

Tymczasem klasy są i mają się dobrze, zapewnili mnie koledzy i koleżanki zajmujący się badaniami tego zjawiska. Ba, dzieje się z nimi wiele bardzo ważnych rzeczy. Po pierwsze, wbrew aspiracjom i obietnicom wszelkich liberałów od czasów Thatcher i Reagana, nie nastąpił zanik klas niższych. Przeciwnie. Po upadku i likwidacji przemysłu, jaka miała miejsce w neoliberalnych gospodarkach, być może można mówić o demontażu klasy robotniczej, jeśli mamy na myśli robotników wielkoprzemysłowych. Jednak na ich miejsce pojawili się nowi biedni. Są to zarówno rzesze bezrobotnych, na ogół pracujących dorywczo, jak i pracownicy zwani za Guyem Standingiem prekariatem, bez bezpieczeństwa zatrudnienia, jakim cieszyli się w ubiegłym stuleciu robotnicy w rozwiniętych gospodarkach,

ale także zwiększające się masy pracujących biednych, głównie pracowników usług, nawet zatrudnionych na umowę o pracę, ale także biedaprzedsiębiorcy, czyli osoby takie jak pracownicy Ubera, fryzjerzy i kosmetyczki bez własnych salonów, pracujący de facto na zasadach pańszczyzny typu villeinage, czyli systemu, gdzie pracownik dzierżawi od feudalnego posiadacza dom, często z kawałkiem ziemi, za obowiązek pracy na rzecz feudała w jego majątku. Wszystkie te grupy określić można mianem klasy pracowniczej i jest to kategoria bardzo dobrze opisująca ich społeczny status, o wiele lepiej, niż inne, oparte na tożsamości – na przykład takiej, jak wyśmiewane przez nas pokolenia.

Po drugie, neoliberałowie obiecywali nam gruszki na wierzbie w postaci wszechobecnej i wszechmocnej w nowym wspaniałym świecie wiodącej siły, czyli klasy średniej. Klasa średnia miała się rozwinąć i objąć swoim zasięgiem wszystko i wszystkich. Polskie najświatlejsze autorytety na początku lat 90. załamywały ręce nad pośledniością polskiego społeczeństwa, które, z powodu komuny, nie miało rozwiniętej klasy średniej. Transformacja miała to zmienić. O dziwo (o dziwo dla mnie, uwierzyłam bowiem w polski etos inteligencki), elity kultury i sztuki bardzo szybko zamieniły się w strasznych mieszczan, którymi wcześniej tak pogardzały. Nagle osoby niegdyś stojące w długich kolejkach po świeżo wydane książki z serii „plus minus nieskończoność” i dzielące się ostatnim dekagramem cudem zdobytej kawy z wpadającym bohemicznie bez zapowiedzi gościem, teraz zamykały się w grodzonych osiedlach i mówiły z blaskiem w oku o pieniążkach, a ongisiejsi snobistyczny akademicy, którzy woleli zmyślać w żywe oczy, niż przyznać się, że czegoś nie czytali, teraz epatowali sale pełne studentów zapewnieniami, że w ciągu ostatniego roku przeczytali tylko raporty z giełdy.

Czyli co, mamy wielki sukces? Klasa średnia wiodącą siłą narodu? Nie, mówi niemiecki ekonomista Wolfgang Streeck, wręcz przeciwnie. Klasa średnia, czyli wielkie profesje, została w

neoliberalizmie zdemontowana. Nasi neofici mieszczańscy to tylko farbowane drobnomieszczańskie lisy. Według Streecka, symbolicznym nośnikiem i organizatorem ładu kulturowego w tej epoce jest drobnomieszczaństwo. Dlatego przedstawiciele dawnej klasy średniej, tacy jak uczeni, artyści i lekarze, mają wielkie problemy z pracą według obowiązujących obecnie standardów i dostosowaniem się do aktualnej rzeczywistości. Ich praca nie jest już definiowana przez nich samych, lecz przez kulturę drobnomieszczańską. Kultura wielkiej burżuazji uległa stopniowemu zanikowi i roztopieniu w wartościach i symbolach charakterystycznych kiedyś dla drobnych urzędników, sklepikarzy, tzw. prywatnej inicjatywy. Natomiast, spostrzega Streeck, ostatnimi czasy także ta grupa społeczna zaczyna ulegać przyspieszonej likwidacji. Kto wtedy będzie symbolicznie niósł kapitalizm? Na razie obarczona tą rolą bywa warstwa tradycyjnie znana jako lumpenproletariat, biedna, bez dostępu do kultury, zdezorganizowana i pozbawiona świadomości klasowej. Nie jest to warstwa zdolna na dłuższą metę do niesienia czegokolwiek, tendencja jest wyraźnie schyłkowa. Streeck widzi postępujące kulturowe zubożenie i coraz słabsze oparcie kapitalizmu w kulturze.

Svallfors z kolegami i koleżankami widzą natomiast rozrost ilościowy klasy pracowniczej, jednak podzielonej i sfragmentaryzowanej, niezwiązanej już wspólnymi wartościami kultury swej klasy – ale bez żadnych innych w zamian. Neoliberalizm nie spełnił swoich obietnic o włączeniu nas wszystkich do wielkiej, nowoczesnej i subtelnej klasy średniej. Ale udało mu się namieszać ludziom w głowach przy pomocy języka, który dzieli, nie łączy.

Tymczasem klasa pracownicza to nie tożsamość, wiek, ani sondaże – to klasa społeczna pozbawiona w kapitalizmie własności i kontroli nad środkami produkcji oraz władzy nad własnym stanowiskiem pracy. Coraz więcej zawodów wpisuje się w tę klasę, ostatnimi czasy także takie profesje jak lekarze, nauczyciele, akademicy. Poza nią zostają inwestorzy i

zarządcy, tacy jak dyrektorzy wysokich szczebli, rektorzy i inwestorzy. To oni są klasą średnią. My wszyscy pozostali – nie.

Skoro jesteśmy tak liczni, to czemu nie ruszamy z posad bryły świata? Ano dlatego, że nic nas politycznie nie łączy – polityka opiera się w dzisiejszych czasach na niedających się pogodzić – bo opartych na esencjalistycznie pojętej tożsamości – podziałach, a nie na solidarności. Nie łączy nas też klasowa kultura, bo ta, jak wspomniała, została zdemontowana. Nie łączy nas przestrzeń, bo pracujemy często w izolacji, używamy narzędzi i komunikatorów cyfrowych, rzadko spotykamy się w pracy twarzą w twarz bez wymuszonych skryptów i nadzorujących każdy gest kamer i aplikacji. Internet nie angażuje empatii i relacje powstałe za jego pośrednictwem są ułomne – narcystyczne, psychopatyczne.

Nie wszystko jednak stracone. Warszawiak Sylwek i odwiedzający go kuzyn Seba spędzają razem piąteczek przy piwie. Sylwek opowiada o swoich problemach, by wiązać koniec z końcem, żali się, że „beżowi” zabierają pracę – całe ich masy dostarczają pizzę za mniej niż psi grosz. Sylwek jako kurier zarabia tyle, co nic, zdawałoby się, że mniej się nie da człowiekowi płacić. Seba słucha jednym uchem i myśli sobie, że to są warszawskie problemy i opowieści. U niego w małym miasteczku od dawna nie było komu czego „zabierać”, a i dowozić pizzy nie bardzo jest komu. Tymczasem Samy spędza nieliczny wolny czas wyłącznie ze swoimi ziomkami z Pendżabu. Nie uczy się polskiego, bo i po co. Nikt z nim nie rozmawia, a jeśli już, to mówią rzeczy, których wolałby nie rozumieć. Czuje się troszkę oszukany przez swojego dziadka, który opowiadał mu, jak w dawnych dobrych czasach pracował na zmywaku w Londynie z sympatycznymi Polakami. Tak upływa piątek wieczór. Ale to nie koniec tej historii. Pewnego pięknego dnia Samy i Sylwek pojawiają się obaj na spotkaniu, na które zaprosiła ich organizatorka z Inicjatywy Pracowniczej, Saba. Okazuje się, że mają wiele wspólnych tematów i mają o czym rozmawiać. Saba tłumaczy

między angielskim a polskim, ale – kto wie, kto wie, co będzie dalej...

W Polsce jesteśmy na początku drogi ku powszechnemu uzwiązkowieniu. Ale w innych krajach, takich jak Szwecja, związki, nawet w naszych sfragmentaryzowanych czasach, pełnią rolę siły, która łączy i buduje. Weźmy taki oto przykład. W dużym szwedzkim mieście w gorący dzień Sanna chciała podjechać kawałek drogi autobusem. Miała na sobie szorty i górę od kostiumu kąpielowego. Niestety kierowca autobusu nie pozwolił jej wsiąść, twierdząc, że jest to wbrew zasadom dress code'u. Gdy zawracała w drzwiach, dostrzegła dwóch mężczyzn w samych szortach, jadących sobie spokojnie w środku. Oburzona, zgłosiła tę sprawę ewidentnej dyskryminacji ze względu na płeć do zarządu firmy przewozowej. Dyrekcja zdecydowanie odcięła się od postawy pracownika i wyraziła głębokie ubolewanie z powodu jego zachowania. Pracownik otrzymał stanowczą reprimendę i został odsunięty od stanowiska pracy. Jednak włączyły się w sprawę związki, które zobowiązały się przeszkolić pracownika w sprawach etyki i równouprawnienia kobiet i mężczyzn. W zamian dyrekcja zobowiązała się przywrócić kierowcę do pracy, jeśli szkolenie okaże się skuteczne. Związki bronią zatrudnienia człowieka, ale nie tylko – widzą swoją rolę szerzej, jako budowniczych więzi społecznych. Pracownika, być może, można pouczyć i uświadomić. Gdyby pozwolono na zwolnienie, to nie tylko on straciłby pracę, a to ostateczna konsekwencja złego działania, ale pewnie odszedłby rozgoryczony i ugruntowany w swojej mizoginii, zatrudniłby się u innego przewoźnika, gdzie wciąż pielęgnowałby aspołeczne postawy, a może i miałby okazję je propagować wśród innych. Związkom zależy na tym, by łączyć i reprezentować pracowników.

Profesor Stefan Svallfors twierdzi, w oparciu o solidne ilościowe badania prowadzone w wielu krajach, że kategoria klasy społecznej nadal jest istotna i, co więcej, że istnieje coś takiego jak świadomość klasowo zdeteterminowana, nawet jeśli

nie jest rozwijana obecnie w postaci kultury klasowej. Różnice w postawach nie dają się łatwo sprawdzić do „kapitału kulturowego” czy wykształcenia. Ludzie widzą i głoszą swoje przekonania w zależności od społecznego podziału pracy. Klasa pracownicza na wiele sposobów — istnieje. To, co nam jest potrzebne, aby zyskała siłę i obecność w przestrzeni społecznej, to wspólny język umożliwiający porozumiewanie się, świadomość i solidarność. Nie może to być język klasy średniej. Zostaliśmy oszukani przez liberałów. Obiecywali nam w latach 90. społeczeństwo bezklasowe, reżyserowane przez najzaciejszą warstwę klasy średniej. Gdyby tak się stało, to dziś naukowcy mówiliby biznesmenom i politykom, jak podejmować służbę społeczną (a nie — jak obecnie — administratorzy i menedżerowie określaliby, jak mają pracować i czym się zajmować uczeni). Pisarze i artyści mieliby solidny, stały dochód społeczny i zapewniony spokój pracy twórczej. Dostęp do kultury i sztuki byłby darmowy, powszechny i wolny. Reklamy byłyby nieliczne i piękne, edukowałyby i subtelnie bawiły. Nie byłoby w bogatych miastach Wielkiej Brytanii bezdomnych na ulicach, a w parkach i pod mostami miasteczek namiotowych weteranów wojen prowadzonych przez własny kraj w dalekich stronach świata. Oryginalność wypowiedzi byłaby ceniona wyżej nawet, niż wkład w materialny dorobek społeczny. Wszyscy mielibyśmy smak coraz bardziej wyrafinowany, wartość mierzyłoby się w tradycjach i wysokich kodach, nie w szmalu. Tak przecież miało być, o tym szumiały konferencyjne opowieści i mruczały wysokokulturowe Muzy w ambitnych filmach i popularnych serialach.

Dlaczego tak się nie stało? Bo mamy kapitalizm. Od początku cała ta opowieść była i musiała z definicji być fikcją. Kapitalizm jest oparty na wyzysku, nie na powszechnej równości i emancypacji dzięki kulturze i nauce. Motorem rozwoju gospodarczego jest zysk wypracowany poprzez zabór wartości wypracowanej przez jednych ludzi dokonany przez innych ludzi. Ci pierwsi, którzy wypracowują i którym się zabiera, jacykolwiek by nie byli i czymkolwiek by się między sobą nie

różnili, to coraz większa klasa pracownicza. Ci drudzy, którzy zabierają, to coraz bardziej zawężająca się klasa kapitalistów. Między nimi – coraz większe różnice w posiadaniu i w życiowych szansach. Coraz większa przepaść. Tak musi być. Nie ma innego rozwoju gospodarczego w kapitalizmie. Analogicznie, mimo wysoko rozwiniętej myśli technologicznej starożytnego Rzymu, nie wprowadzono wówczas mechanizacji pracy, bo nie było to sensownym działaniem w formacji opartej na niewolnictwie. Kapitalizm to formacja oparta na własności prywatnej środków produkcji i wykorzystaniu ich do wytwarzania zysku. Innymi słowy, na dobrobyt inwestora musi pracować ktoś inwestorem niebędący. Może to być łagodzone, przede wszystkim, ingerencją i aktywną rolą państwa w modelu socjaldemokratycznym, gdzie potężne instytucje strzegą i wymuszają bardziej sprawiedliwy podział. W zglobalizowanym świecie, gdzie istnieje swoboda przemieszczania się kapitału – ale brak swobody przemieszczania się ludzi – ta lokalna siła jest coraz bardziej ograniczana dynamiką systemu.

Innymi słowy – zostaliśmy wykiwani. Zabrano nam język klas i możliwość porozumienia się w zamian za obietnicę nie do spełnienia. Zabrano nam także symboliczne okulary do widzenia klas. Zamiast tego zaoferowano głupawe „pokolenia” wymieniałe się co 10 lat lub, w Wielkiej Brytanii, grupy konsumenckie. Klasyfikacja ta pojawiła się ok. 50 lat temu jako kategoryzacja czytelnictwa i prędko stała się szablonem używanym w badaniach marketingowych. W ostatnich dwóch dekadach wykorzystywana jest zamiast pojęcia klasy społecznej – porządkuje się ludzi według statusu zatrudnienia „głowy rodziny” i dochodu tej osoby, nie bacząc na to, że w ten sposób uzyskujemy jedynie zestawienie grup o różnej sile nabywczej, co niekoniecznie ma związek z czymkolwiek innym w życiu społecznym czy politycznym.

Na początek musimy na nowo zobaczyć klasy. A potem znaleźć język, który łączy i buduje mosty wewnątrz klasy pracowniczej. Jak powiedziałam, wierzę w związki zawodowe, ale są też inne

możliwości znajdowania wspólnych wartości – mogą je nam dać ekologia, religia (tak, tak – katolewica czy lewice innych wyznań), ruchy miejskie. Organizujmy się, bo naprawdę za chwilę nie będziemy już mieć nic do stracenia – łada moment kapitalizm jak wielki systemowy nowotwór zniszczy wszystko: naszą planetę i życie, które od milionów lat się na niej kształtowało, ludzką kulturę w takim nieprawdopodobnym trudzie i z ogromnymi wyrzeczeniami budowaną od tysiącleci. Organizujmy się z lewa, bo jeśli klasa pracownicza, to lewica jest właściwym językiem i wrażliwością, niezbędnymi do zbudowania języka i wspólnotowości, właściwym dlatego, że nie obiecuje rzeczy niemożliwych i mobilizuje do działań, które mogą przynieść większą równość i wolność od wyzysku. Nie czekajmy na polityków. Zróbmy to sami i same tak jak umiemy i tak jak się da, pamiętając, że lewica nie jest o tożsamości. Jest o solidarności. Jak pisze włoski lewicowy filozof i aktywista Franco Bifo Berardi, tożsamość dotyczy wspólnej przeszłości, prawdziwej bądź wyimaginowanej, jest konstruktem łączącym grupę społeczną, która straciła inne, silniejsze więzi. Lewicowa solidarność natomiast jest taką właśnie silną więzią i dotyczy możliwej wspólnej przyszłości. Klasa pracownicza nie umie zależeć dla siebie tożsamości, ale nie przejmujemy się tym – o wiele bardziej potrzebna będzie nam solidarność i przyjaźń wobec wspólnego losu – a także zdolność do antycypacji tego, co możemy wspólnie zdziałać w naszej całej niezborności i różnorodności.

Autorstwo: prof. Monika Kostera

Źródło: NowyObywatel.pl